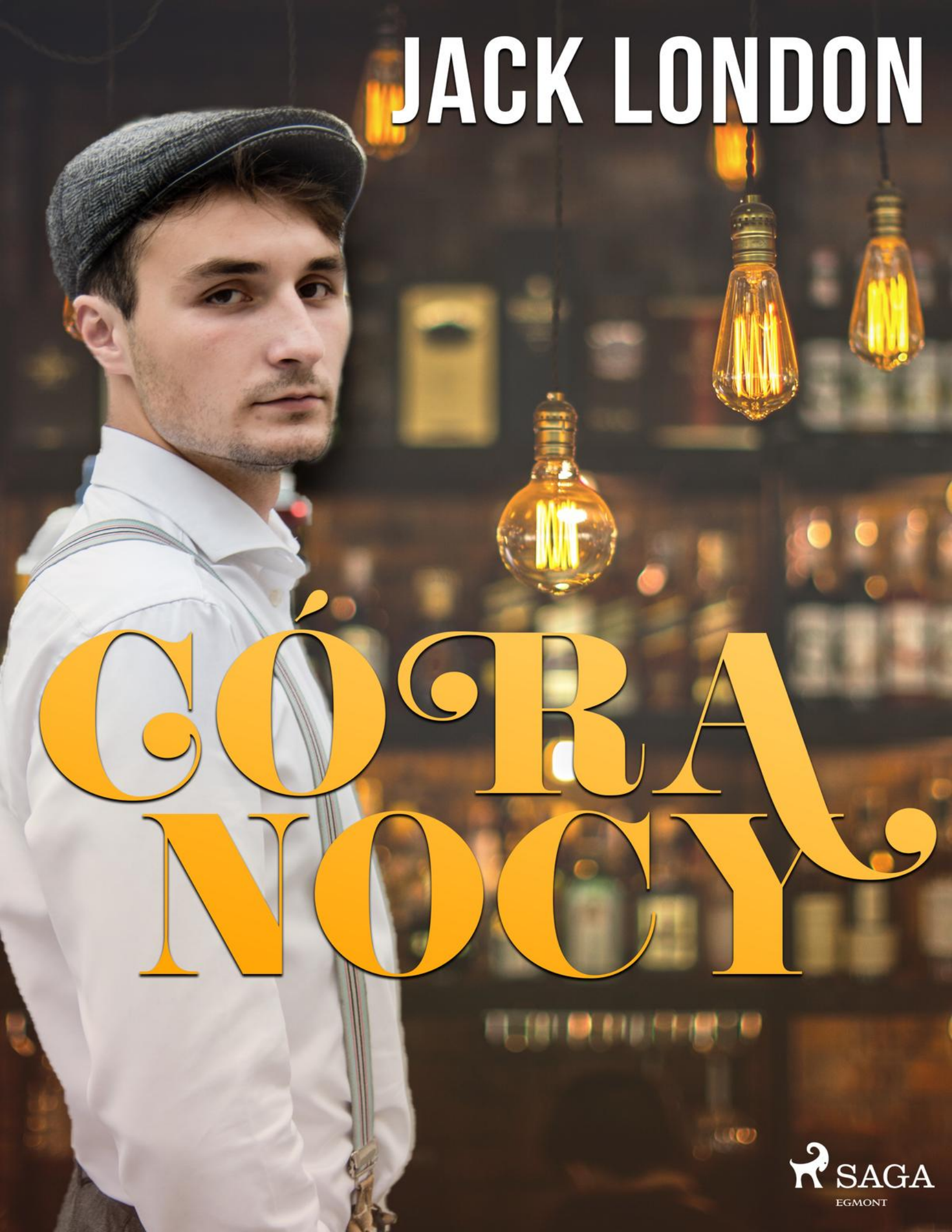


A man with a flat cap and white shirt with suspenders is looking over his shoulder. The background is a blurred bar with several glowing Edison-style light bulbs hanging from the ceiling.

JACK LONDON

GÓRA NOCY



JACK LONDON

GÓRA
NOCY

 SAGA
EGMONT

Jack London

Córa nocy

Tłumaczenie Jerzy Mariusz Taylor

Saga

Córa nocy

Tłumaczenie Jerzy Mariusz Taylor

Tytuł oryginału *Night-born*

Język oryginału angielski

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów, z których pochodzi.

W niniejszej publikacji zachowano oryginalną pisownię.

Copyright © 1911, 2022 SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728451434

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów z których pochodzi.

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

CÓRA NOCY

Było to w starym klubie Alta Inyo podczas upalnej nocy, zbyt upalnej nawet dla San Francisco, Przez wpół uchylone drzwi dolatywała daleka i przygłuszona wrzawa ulic wielkiego miasta. Prowadziliśmy rozmowę na temat sprawy Grafta i ostatnich wypadków, które zaszły w mieście. Poruszyliśmy też mimowoli drażliwe sprawy zgnilizny moralnej i nikczemności i nienawiści i całej szpetoty ludzkiego charakteru.

Ktoś wreszcie wymienił nazwisko O'Briena. Łączyło się z niem aktualne wspomnienie tragicznego wypadku. O'Brien, młody zapaśnik, rokujący jaknajlepsze nadzieje, ubiegłej właśnie nocy postradał życie w zapasach.

Przygnębiające wrażenie poprzedniej naszej rozmowy pierzchło niezwłocznie. O'Brien był młodzieńcem o nieskazitelnym obyczajach, wierzącym w ideały. Nie oddawał się hulankom, mowa jego wolna była od przekleństw, nie używał tytoniu, a ciało jego miało piękne kształty młodego boga. Wzruszającym było, że nawet idąc na zapasy zabierał książkę do nabożeństwa. Znalaziono ją potem w kieszeni jego marynarki, pozostałej w rozbieralni.

Była to *Młodość*, czysta i zdrowa, nieskażona dotknięciem złego, stanowiąca przedmiot podziwu dla ludzi, którzy swoją utracili już dawno i teraz, siedząc w klubie, prowadzili o niej rozmowę.

Tak namiętnie rozstrząsaliśmy ten temat, aż wreszcie przyszła *Bajka* i zawiodła nas daleko poza mury ludnego

miasta. Znikło, rozplynęło się wraz z gwarem jego hałaśliwych rozkrzyczanych ulic.

Rozpoczął Bardwell, cytując Thoreau. Ale stary Trefethan, łysy i pomarszczony Trefethan podjął cytate i w ciągu całej godziny następnej czarował nas swem opowiadaniem, stając się wcieleniem żywej *Bajki*. Z początku sądziliśmy, że Trefethan wypił zbyt wiele whisky po obiedzie. Wprędce jednak wszystko to uległo zapomnieniu.

— Było to w roku 1898, — zaczął. — Miałem wtedy trzydzieści pięć lat. Tak, tak, wiem, że myślicie o tem ile liczę dzisiaj. Macie rację. Dziś więc mam czterdzieści siedem. Jeszcze dziesięć lat i lekarze mówią, że... Ale wreszcie do diabła ze wszystkimi lekarzami.

Przytknął do ust, wysoką, wąską szklanke i sącył wolno napój. Pragnął zapewne stłumić swe rozgoryczenie.

— Ale ostatecznie miałem przecież chyba kiedyś młodość. Dwanaście lat temu byłem jeszcze młodym. Nie miałem wówczas łysiny, a w pasie byłem cienki jak szybkobiegacz. Najdłuższy dzień nie wydawał mi się zbyt męczącym. Byłem zdrow jak koń w roku 1898. Pamiętasz, Milner? Zналиśmy się już wtedy. Czy nie byłem wcieleniem zdrowie?

Milner kiwnął głową i przytaknął. Zнали się odeawna. Obydwaj byli inżynierami-górnikami. Razem szukali bogactwa w Klondyke.

— Masz rację, stary, — rzekł. Istotnie byłeś takim. Nigdy nie zapomnę jakiego dałeś łupnia łazikom z M. i M. tej nocy kiedy mały dziennikarz rozpoczął swój objazd. Slavin znajdował się wówczas w kraju. Pamiętam jak przedsiębiorcy chcieli urządzić jego match z Trefethanem.

— Dobrze, dobrze. Spójrzno na mnie teraz, — mruknął gniewnie Trefethan. — Oto, co uczyniły ze mnie kopalnie

złota. Nie wiem już ile zyskałem milionów. Ale w duszy mej i w żyłach nie pozostało nic. Dobra czerwona krew znikła, wyschła doszczętnie. Jestem teraz mięczakiem, wielką masą trzęsącej się protoplazmy, czemś, czemś...

Głos odmówił mu posłuszeństwa i Trefethan pociągnął nowy łyk z wysokiej szklanki.

— Kobiety patrzyły na mnie... wówczas. Pochłaniały mnie wzrokiem. Obracały się, aby przyjrzeć mi się raz jeszcze. Dziwnem jest wprost, że nie ożeniłem się. Była jednak dziewczyna... O niej to właściwie mam zamiar wam opowiedzieć. W pustkowiu, o tysiąc mil od ludzkich osiedli spotkałem tę dziewczynę. Zacytowała mi wówczas ten sam ustęp Thoreau, który przed chwilą recytował Bardwell. Te same słowa. O bóstwach dnia i o bóstwach nocy.

Zdarzyło się to wtedy, kiedy usadowiłem się na Goldstead, nie wiedząc bynajmniej o tem, jaką skarbnicą jest ta okolica. Wędrowałem wówczas na wschód, przez góry Skaliste aż do Great Slave czyniąc po drodze dorywcze poszukiwania. Wyżej, na północ góry te są już czemś więcej niż łańcuchem. Stanowią niedostępny mur, krawędź jednolitą, niezdobytą warownią. Niema tam żadnych dróg ludzkich. Przekraczała je wprawdzie już w czasach najdawniejszych traperzy. Były to jednak wypadki odosobnione. Więcej ich ginęło zresztą niż wracało. To właśnie było powodem dlaczego tak bardzo pragnąłem tej podróży. Byłaby ona chlubą dla każdego. Pysznę się nią też teraz więcej niż czemkolwiek innem dokonaniem w życiu.

Jest to kraj dziewiczy. Olbrzymie jego przestrzenie nigdy jeszcze dotąd nie zostały zbadane. Znajdują się tam rozległe doliny, w których nie postąpiła noga białego przybysza. Koczują wśród nich plemiona indyjskie równie pierwotne jak przodkowie ich z przed dziesięciu tysięcy lat. Niezupełnie zresztą, gdyż ostatecznie mają one pewien

kontakt z białymi. Niektóre z nich udają się czasem na handel wymienny. To wszystko. Nawet Kompanja Zatoki Hudsona nic odkryła dotąd tych ziem i nie założyła tam swoich ferm.

A teraz o dziewczynie. Dążyłem wówczas doliną strumienia bez nazwy, niezapisanego na żadnej mapie, strumienia, który w Kalifornji łącznie uznanyby został za rzekę. Była to wspaniała dolina. Niekiedy zagraadzały mi drogę niebotyczne kanjony, to znów otwierał się widok na cudowne przestrzenie, szerokie i długie. Na nizinach ciągnęły się żyzne pastwiska, na zboczach łąki, obficie upstrzone kwieciami, wyżej wreszcie całe gaje drzew, pięknych jodeł, dziewiczych i wyniosłych.

Moje psy tarzały się tu na grzbietach, lizały sobie poranione łapy i baraszkowały wesoło. Ja zaś rozglądałem się za jakimś wigwamem indyjskim. Pragnąłem zdobyć sanki oraz poganiaczy i ruszyć z pierwszym śniegiem. Pora była spóźniona i te łąki usiane kwiatami wprowadziły mnie w zdumienie. Sądziłem, że znajduję się w podbiegunowej okolicy, a tymczasem w tej dolinie trwało lato. Kiedyś zapewne nadejdzie dzień, że biali osiedleńcy zawędrują aż tam i zasieją pszenicą całą dolinę.

Spostrzegłem wkrótce dymy, usłyszałem ujadanie indyjskich psów i niebawem znalazłem się w obozie. Było tam co najmniej pięciuset czystej krwi Indian. Ich zadowolone twarze znamionowały, że ostatnie polowania wypadły pomyślnie. Tam właśnie spotkałem tę dziewczynę, Lucy. Takie Imię nosiła. Porozumiałem się z Indianami szybko, choć tylko na migi. Zaprowadzili mnie do okazałego namiotu. Cały sporządzony był z łosich skór, wiecie, tych lepszych, wędzonych w dymie, starannie wygładzonych ręcznie, o barwie żółtego brązu. Namiot otwarty był od strony obozowego ogniska. Wewnątrz panowały ład i czystość, jakie rzadko tylko spotyka się w indyjskich

wigwamach. Poślanie było sporządzone na świeżych gałęziach jodłowych. Składało się z przeróżnych skór, nagromadzonych jedna na drugą. Wszystko to pokrywał wspaniały płaszcz z białych łabędzich skór. Nigdy nie widziałem równie pięknego. Na płaszczu zaś siedziała ze skrzyżowanymi nogami Lucy. Skóra jej była barwy orzechowej. Nazwałem ją dziewczyną. Nie była nią. Była kobietą, o brązowej skórze, amazonką, kobietą wspaniale zbudowaną i królewsko dojrzałą. Oczy jej zaś były błękitne.

To właśnie uderzyło mnie. Jej błękitne oczy. Nie, nie były błękitne. Raczej szafirowe. Były jak morze i niebo stopione w jedną całość. Spojrzenie ich przytem było nader mądre. Powiem więcej. Spostrzegłem w tych oczach błyski gorące, słoneczne, bardzo ludzkie, a jeszcze więcej powiedziałbym kobiece. Tak było istotnie jak mówię. Oczy jej miały wyraz prawdziwej kobiecości. Wszak wiecie co to znaczy. Czyż mogę tu dodać coś jeszcze? Jednocześnie zaś bił z tych szafirowych oczu dziki niepokój, tęsknota niepokohamowana i wreszcie chłód, chłód absolutny, coś jakby spokój wszechmądrości filozoficznej.

Tu Trefethan urwał nagle.

— Sądziecie moi drodzy, że uraczyłem się po nad miarę? Nie, bynajmniej. Ta szklanka jest piątą dopiero z kolei od obiadu. Jestem przeraźliwie trzeźwy. Mówię zupełnie poważne. Wywołałem tylko cienie mej świętej młodości. To nie *stary* Trefethan opowiada wam te dzieje. To moja młodość. Ona to właśnie twierdzi, że te oczy były najpiękniejszymi, jakie widziałem kiedykolwiek. Tak bardzo chłodne, a jednocześnie niespokojne. Pełne mądrości, a jednak ciekawe. Odwiecznie stare i młode zupełnie. Zadowolone, a równocześnie baczne na wszystko i bolesne. Chłopcy, nie potrafie wam opisać wyrazu tych oczu. Kiedy skończą już moją opowieść, wówczas sami będziecie mogli osądzić czy mam rację.

Nie poruszyła się z miejsca, gdy wszedłem do namiotu. Powitała mnie skinieniem dłoni.

— Cudzoziemcze — rzekła. — Przybycie twoje sprawia mi radość.

Miała chropowatą wymowę ludzi zachodniego pogranicza. Wyobraźcie sobie moje zdumienie. To była biała kobieta. Ale ta wymowa. Już to samo było zdumiewające, że biała kobieta mogła się znaleźć w tem pustkowiu, leżącym za ostatnią granicą cywilizowanego świata. Ale jej wymowa. Mówię wam. Raniła me uszy. Sprawiała mi ból. A jednak, pozwólcie mi to powiedzieć, że kobieta ta była prawdziwą poetką. Przekonacie się o tem zresztą sami.

Odprawiła Indian. Uśłuchali niezwłocznie. Wydała im pewne polecenia, które zostały wykonane w oka mgnieniu. Była przecież hi-gu-skookum, wodzem kobietą. Kazała dzikim przygotować dla mnie namiot i oporządzić moje psy. Uczynili to niezwłocznie. Wiedzieli również, że nie wolno jest im ukraść bodajby rzemyka od mych mokassynów. Była prawdziwą władczynią, której rozkazy musiały być spełnione. Zapewniam was, że to przeświadczenie ścinało krew w mych żyłach. Czułem jak mrówki biegały mi po grzbiecie. Spotkać białą kobietę, grającą rolę władczyni dzikiego plemienia? Tu, o tysiące mil od ludzkich osiedli, na drugiej krawędzi ziemi niczyjej?

— Cudzoziemcze — rzekła znów. — Sądzę, iż napewno jesteś pierwszym z białych, który postawił swą stopę w tej dolinie. Usiądź więc i opowiedz mi cośkolwiek o sobie, zanim podadzą nam strawę. Jaką drogą dostałeś się tutaj?

Znów ta wymowa. Ale teraz chcę byście zapomnieli o niej aż do końca mojej opowiedzi. Mówię wam, że i ja zapomniałem, siedząc tam na skraju płaszcza z łabędziach skór, słuchając cały czas i patrząc na najpiękniejszą kobietę, jaka kiedykolwiek zstąpiła z kart Thereau czy też innego poety.